w Rzeszowie

WIDNOKRĄG
TYGODNIK LITERACKI

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 8 (230)
Rok VI
27 II 1966 r.

JAN GRYGIEL

RUCH AMATORSKI NA ZAKRĘCIE

POZWOLĘ sobie już na wstępie artykułu na truizm. Amatorski ruch artystyczny skupiający w Polsce ok. 360 tys. ludzi w 22 tysiącach zespołów odgrywa w życiu kulturalnym olbrzymią rolę. Zespoły ruchu amatorskiego spełniają rolę pomostu między wielką sztuką a szerokimi kręgami społeczeństwa. Oddziaływują wychowawczo, kształtują postawy moralne i estetyczne, wyzwalają aktywność społeczną i ambicje środowiskowe. O ile tego rodzaju stwierdzenie jest aż banalne i dla wszystkich oczywiste, to mniej powszechne jest przekonanie, iż ruch amatorski odgrywa szczególnie ważną rolę w sytuacji kulturalnej, w której znajdujemy się obecnie od kilku lat. Wskutek rozbudowania i upowszechnienia środków masowego przekazu i nasycenia całego kraju siecią placówek kulturalnych oraz dzięki wzrostowi poziomu intelektualnego społeczeństwa i przygotowania go w najszerszych kręgach do uczestnictwa w kulturze znaleźliśmy się w zasięgu oddziaływania kultury masowej. Czyli w sytuacji zbliżonej pod wieloma względami do panującej w dziedzinie kultury w zindustrializowanych i zurbanizowanych krajach kapitalistycznych. Kultura masowa niesie między innymi niebezpieczeństwo osłabienia aktywności kulturalnej odbiorców i przekształcenia ich w biernych konsumentów przekazywanych treści. Może to uczynić z nich podatne i bezkrytyczne obiekty wszelkich manipulacji. Amatorski ruch artystyczny pozwala czynnie uczestniczyć w tworzeniu wartości kulturalnych, wyzwala więc tak pożądaną twórczą postawę jednostki. Pod warunkiem oczywiście, iż odejdzie od tradycyjnych i anachronistycznych form, od stylu starej ludowej kultury, a przystosuje się do nowych potrzeb urbanizującej się wsi. Wsi, która dziś ma radio, telewizję, samochody i motocykle oraz łatwą komunikację z miastem. Do tego problemu wrócę jeszcze w dalszych rozważaniach.

W tym układzie zasadniczą rolę odgrywa umiejętne kierowanie tym ruchem, mądre inspirowanie jego działalności, odpowiednia pomoc instrukcyjno-metodyczna. Warto więc przyglądnąć się organizacji, możliwościom działania i formom pracy instytucji i placówek programujących twórczość amatorską. Czy stoją na wysokości zadania, czy zapewniają właściwy rozwój tej dziedziny naszego życia kulturalnego...

Instytucją centralną w zakresie poradnictwa i w pewnym sensie kierowania zasadniczymi tendencjami w ruchu amatorskim jest CPARA (Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego). „Ma ona na celu, jak czytamy w planie pracy na rok 1966 — niesienie pomocy metodycznej, instruktażowej, dydaktycznej i repertuarowej placówkom upowszechnienia kultury; zwłaszcza poradniom kulturalno-oświatowym i ośrodkom instrukcyjno-metodycznym". Podlega ona Ministerstwu Kultury i Sztuki i prowadzi, jak wynika z cytatu szeroki zakres działalności. Jednym z najważniejszych jej zadań jest doskonalenie kadry instruktorów i działaczy ruchu amatorskiego w ośrodkach wojewódzkich i powiatowych. CPARA organizuje więc specjalistyczne kursy centralne, kurso-konferencje, kwartalne seminaria plastyczne, teatralne, muzyczne i taneczne — konwersatoria oświatowe itd., i to zarówno dla pracowników woj. domów kultury, jak i aktywu k. o. z powiatów. Ponadto prowadzi szeroką akcję wydawniczą materiałów służących podnoszeniu kwalifikacji pracowników kultury (podręczniki, materiały metodyczne, poradniki i informatory) i wspomagających bezpośrednio zespoły artystyczne w zakresie repertuaru. CPAR-ze podlegają bezpośrednio wojewódzkie ośrodki instrukcyjno-metodyczne zlokalizowane zwykle w WDK-ach, a pośrednio powiatowe ośrodki instrukcyjno-metodyczne przy powiatowych domach kultury lub gdy w powiecie brak domu kultury przy wydziale kultury prez. powiatowej rady narodowej. Te powiatowe ośrodki powstały niezbyt dawno lub są dopiero w stadium organizacji. Powołanie do życia tego rodzaju ośrodków w każdym powiecie jest niewątpliwie dużym postępem w stosunku do nie tak dawnej jeszcze przeszłości, kiedy to jedno lub najwyżej dwuosobowy wydział kultury w powiecie przy minimalnym budżecie decydował o całokształcie spraw kulturalnych na swoim terenie (pamiętamy także próby likwidowania wydziałów kultury w wielu powiatach i przekazywanie ich kompetencji wydziałom oświaty). Obecnie wydziały te łącznie z podległymi im ośrodkami liczą 4—5 etatowych pracowników.

* * *

Zorientowałem się nieco bliżej w warunkach pracy i możliwościach działania w czterech takich placówkach programowania ruchu amatorskiego. Byłem w powiatach o różnej aktywności i intensywności pracy k.o. — w Łańcucie, Leżajsku, Dębicy i w Jaśle. Porobiłem mnóstwo szczegółowych notatek, które ostatecznie okazały się nie tyle ważne dla całości zagadnienia, co wskazywały mi na stopień rozeznania kierowników tych placówek w problematyce ruchu artystycznego w swoich regionach. Trzeba stwierdzić przede wszystkim, iż jak dotąd powiatowe ośrodki instrukcyjno-metodyczne rozporządzają bardzo szczupłą bazą finansowo-techniczną. W Łańcucie, w którym istnieją (w powiecie) 33 wiejskie placówki kulturalne i około 50 zespołów amatorskich rozmaitych specjalności, w roku 1965 na działalność zasadniczą przeznaczono 10 tysięcy złotych, a na rok 1966 zaplanowano 11 tys. złotych (nie liczę wynagrodzenia etatowych pracowników). Ośrodek dysponuje aparatem projekcyjnym wąskotaśmowym, magnetofonem, dwoma adapterami, jednym epidiaskopem i płytoteką złożoną z 60 płyt. Urządzenia te w takiej ilości mogą spełniać tylko funkcję eksponatów na optymistycznej wystawce — „technika w służbie pracy kulturalnej", nie mogą natomiast służyć samej, nowocześnie pojętej pracy. Bazę działania uzupełnia biblioteka repertuarowa składająca się z 670 pozycji repertuarowo-metodycznych. Ośrodek pracuje w pokoiku, w którym 3 osoby stanowią już tłok.

W Leżajsku nie lepiej: 1 magnetofon, 1 epidiaskop, aparatura głośnikowa, 80 płyt i biblioteka (430 pozycji).

Na tym tle uprzywilejowaną pozycję zajmuje Pow. Ośrodek Instrukcyjno-Metodyczny w Dębicy rozporządzający własnym mikrobusem, magazynem kostiumów i rekwizytów teatralnych, dwoma adapterami, 1 magnetofonem, 1 epidiaskopem, radioodbiornikiem i 2 projektorami do filmów wąskotaśmowych. Dla tej placówki Prez. PRN zaplanowało dotację w wysokości 90 tys. zł na działalność zasadniczą.

W Jaśle poradnia metodyczna istnieje już od dawna, gdyż pracuje tam PDK (w powiatowych domach kultury poradnictwo dla terenu działa już od wielu lat). W związku z tym znajduje się w lepszej sytuacji. Zatrudnia 4 etatowych pracowników, rozporządza również własnym samochodem. Reszta, podobnie jak wszędzie — magnetofon, adapter, dwa projektory filmowe, epidiaskop i rzutnik. Biblioteka repertuarowa liczy około 1000 pozycji.

Jeśli zakłada się konieczność elastyczności w działalności kulturalnej, dostosowanej do nowych zainteresowań młodzieży wsi i miasteczek, jak amatorskie zespoły plastyczne, kluby czy kółka fotograficzne, kluby amatorskie filmu krótkometrażowego — to bezwzględnie należy dostarczyć ośrodkom instr. met. większej ilości i bardziej urozmaiconego sprzętu technicznego. Albo trzeba widzieć konieczność takich inwestycji przy ustalaniu dla nich budżetu. Za 10 tys. złotych rocznie będzie trudno imponować bazą techniczną.

* * *

Nie tylko brak podstawowego sprzętu i funduszów utrudnia ośrodkom wykonywanie zadań, do których je powołano. Prawie wszyscy kierownicy we wspomnianych miejscowościach stwierdzali, że zarówno sami udzielają często porad zespołom i placówkom w terenie, jak również korzystają z pomocy zespołu konsultantów specjalistów. Szczegółowej dokumentacji poradnictwa nie mogłem zobaczyć, gdyż ona jeszcze na ogół nie istnieje lub jest tak ogólnikowa, iż nie można się z niej zorientować o jakości instrukcji. Wierzymy na słowo, iż etatowi pracownicy od 6—8 razy wyjeżdżają z poradami do zespołów, do czego zobowiązują ich przepisy służbowe. Ale przecież na stanowiskach kierowników ośrodków i etatowych instruktorów pracują ludzie na ogół ze średnim ogólnym wykształceniem, czasem po technikum, w kilku wypadkach bez matury. Trudno od nich żądać kompetencji w zakresie teatru, muzyki, tańca, plastyki czy filmu — trudno nawet przypuszczać, iż w jednej z tych sztuk z pełną odpowiedzialnością mogą udzielać poradnictwa. I niewiele tu pomogą intensywne szkolenia prowadzone przez WDK lub CPARA w sposób doraźny (seminaria, kurso-konferencje, odprawy, narady) lub nawet specjalistyczne studia zaoczne (Studium Kulturalno - Oświatowe czy Teatralne) przy tej płynności kadr. Może zbyt pesymistycznie oceniam sytuację, lecz nieco chałupnicze metody kształcenia, mimo ich zróżnicowania nie gwarantują pożądanych wyników.

Jeśli nawet założymy, iż porad specjalistycznych dla zespołów udzielać będą konsultanci zaproszeni przez Ośrodek, to i wtedy nie mamy gwarancji, że to będą porady w pełni wartościowe. Większość konsultantów, to ludzie, którzy mają dobrą wolę, lecz brak im specjalistycznych kwalifikacji. Ot, po prostu, niektórzy długo grali w amatorskim zespole teatralnym, więc zgłaszają się na konsultanta czy nieetatowego instruktora. Inni kiedyś tańczyli w zespole pieśni i tańca, jeszcze inni amatorsko malują. Czasem są to nauczyciele poloniści, którzy na prowincji muszą się znać na wszystkim — teatrze, muzyce, tańcu i recytacji. Jeśli brak w miasteczku reżysera z kwalifikacjami zawodowymi, muzyka po studiach muzycznych, plastyka z dyplomem uczelni, a najczęściej ich nie ma, kierownik ośrodka nie ma wyboru. I nie ma także możliwości sprawdzenia poziomu i przydatności ich poradnictwa. Ta bardzo trudna sytuacja będzie trwała tak długo, dopóki Ministerstwo Kultury i Sztuki lub CPARA nie przeprowadzą weryfikacji instruktorów działających w powiatach i zweryfikowanym nie wyda dokumentów dokładnie określających ich uprawnienia. Bo instruktor, który może być bardzo pomocny zespołowi grającemu „Chatę za wsią" Kraszewskiego, niewiele pomoże tym, którzy zechcą grać Mrożka czy Różewicza.

Na ten problem zasadniczy — dla podniesienia poziomu ruchu amatorskiego — wskazywali kilkakrotnie w rozmowach kierownicy PDK-ów i pracownicy ośrodków instr.-metod. Bogate zakładowe domy kultury radzą sobie tak, iż zawierają umowy o pracę z zespołami, z zawodowymi aktorami, plastykami lub muzykami. To jednak jest możliwe tylko w miejscowościach położonych w pobliżu Rzeszowa lub w większych miastach powiatowych, w których tacy ludzie istnieją.

Sprawa weryfikacji i normalnego stacjonarnego kształcenia kadr instruktorskich wymaga definitywnego załatwienia, o ile ruch amatorski ma się nadal żywo i prawidłowo rozwijać.

* * *

Szmiry na ogół w repertuarze amatorskich zespołów już nie ma. Ale również dość rzadko spotyka się programy ambitne, o wybitnych walorach intelektualnych i artystycznych. Przeważa przeciętność i szarzyzna (np. w pracy zespołów teatralnych). Oto kilka przykładów z aktualnego repertuaru scenicznego w tych czterech powiatach: „Dramat Joli", „Wuj z Ameryki" — Jesionowskiego, „Uczciwe nazwisko" — Banasiowej, „Majster i czeladnik", „Narzeczona", „Mąż gapa" — Korzeniowskiego, „Nad Prądnikiem" — Tatary Skockiej, „Zakochana majstrowa" Iłowskiego, „Mazowieckie dziewczęta", „Ich dwóch" — Niewiarowicza itd. (Trzeba dla sprawiedliwości nadmienić, że np. w powiecie dębickim grano również „Różę", „Wierną rzekę" i „Grzech" — Żeromskiego). O ile nie można mieć za złe zespołom wiejskim, iż nie odbiegają w poszukiwaniu repertuaru od swoich możliwości, to brak większych ambicji w zespołach miejskich wywołuje niepokój.

W ogóle daje się zauważyć pewien kryzys w pracy zespołów amatorskich. Zmniejsza się powoli ilość aktywnie pracujących zespołów (duża ich część istnieje tylko statystycznie) — zanikają kapele ludowe, zespoły pieśni i tańca, zespoły folklorystyczne. Nie należy się temu zbytnio dziwić. Na skutek przemian cywilizacyjnych i społecznych na wsi młodzież unika folkloru i tradycyjnie pojętej ludowości. Nie bawią jej także formy pracy teatralnej nie zmieniane od czasów założenia Związku Ochotniczych Teatrów Ludowych w XIX wieku — formy teatru typowo ludowego. Bieda z tym, że nie pojawiają się nowsze, bardziej atrakcyjne formy. Wielu instruktorów i działaczy przeciwstawia się dość zdecydowanie rozrywkowym i zabawowym zajęciom w programie zespołów amatorskich. Niechętnie odnoszą się do zespołów kabaretowych, estradowych czy bigbeatu, gdyż przywykli do świętalnego traktowania kultury, do jej wyłącznie wychowawczych i umoralniających funkcji. Nie mają często zaufania do eksperymentu, do poszukiwań artystycznych, do odbiegających od tradycji zajęć.

Dobrze, że powstały powiatowe ośrodki instrukcyjno-metodyczne. To na pewno duże osiągnięcie w zakresie opieki nad ruchem amatorskim i właściwego programowania jego działalności. Ale już dziś widać, że trochę się tam za dużo urzęduje, za mało zaś inicjuje i podpowiada amatorom. Oby nie uległy dalszemu zbiurokratyzowaniu. Oby potrafiły sprostać sytuacji, w której ruch a-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

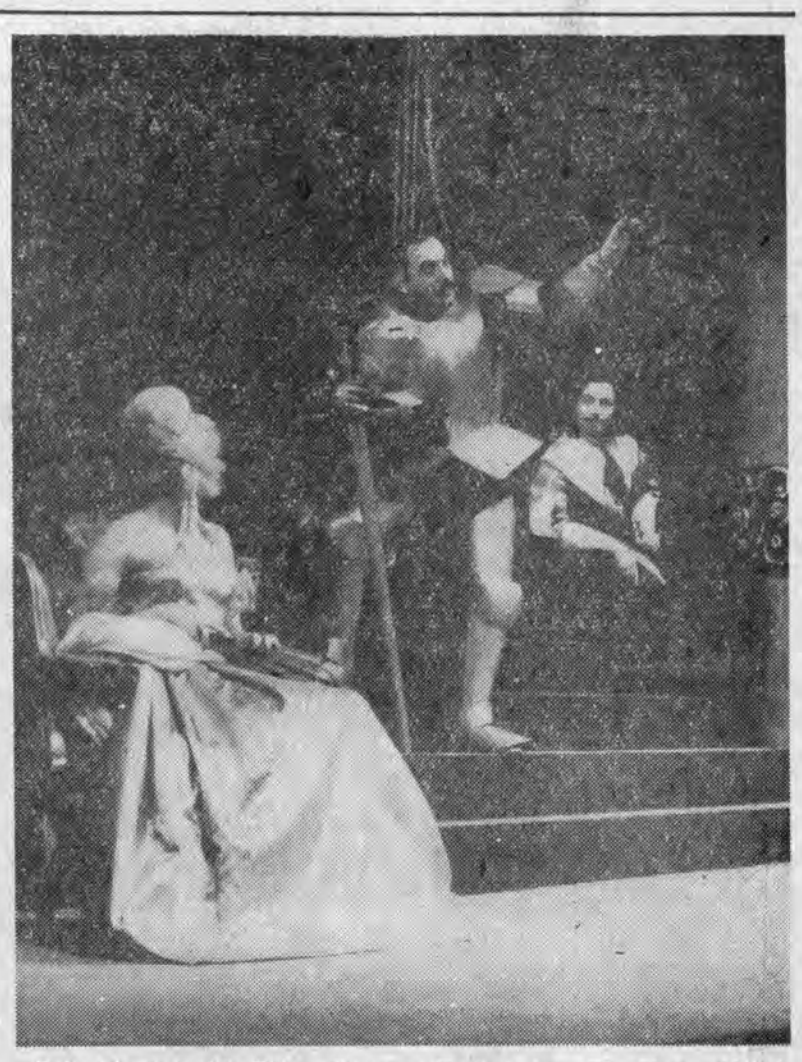

„Bal pożegnanych" Petra Zvona w Teatrze im. W. Siemaszkowej. Osoby na zdjęciu: Sylwia — Teofila Zagłobianka, Rycerz Gejza — Wincenty Zawirski i Hrabia Alfred — Zdzisław Sikora. O spektaklu piszemy wewnątrz numeru.

WYSTAWA PRAC ZENONA RACHWALSKIEGO

17 II br. w Opolu otwarta została Wystawa Malarstwa Rysunku i Grafiki Zenona Henryka Rachwalskiego.

Zenon Rachwalski studiował w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych malarstwo pod kierunkiem prof. Jerzego Fedkowicza, malarstwo ścienne w pracowni prof. Wacława Taranczewskiego.

Po studiach artysta, jako członek grupy XIV, osiedla się w naszym województwie. W 1955/56 r. uczy w Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu i aktywnie uczestniczy w działalności grupy XIV.

Na zaproszenie kolegów — plastyków, artysta w 1957 r. wyjeżdża do Opola.

Kilkuletnia działalność pedagogiczna i artystyczna Z. Rachwalskiego związała go z naszym województwem. Mimo,

Syrena — olej 1959

że obecnie pracuje w Opolu, artysta pozostał wierny uczuciowo pionierskim założeniom grupy XIV.

W twórczości Z. Rachwalskiego motywem przewodnim jest człowiek. Specyficzne zaangażowanie każe patrzeć mu wnikliwiej na człowieka, na jego ból. To spojrzenie odczuwa się również w pejzażu. Protest przeciw uciemiężeniu i deptaniu człowieka artysta wyraża zwartymi skrótami w grafice (Cykle: „Uciemiężenie", „Płacząca").

Wystawa opolska jest owocem ambitnych poszukiwań artystycznych i wytrwałej pracy Z. Rachwalskiego, dowodem rozwoju jego talentu.

(E)

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Pracowite życie

Ilekroć wybieram się do Sanoka, przypominam sobie panią Zofię, wspominam spotkanie z nią w okolicznościach zresztą dość niecodziennych. Było to w schronisku na Świętej Katarzynie, gdzie zatrzymała się na nocleg grupa rzeszowskich bibliotekarzy, którzy niemal corocznie, wyruszają na parodniowy rekonesans po Polsce. W ubiegłym roku wybrali się do stron rodzinnych autora „Popiołów", w Góry Świętokrzyskie, a ja, jako że z bracią bibliotekarską sympatyzuję nie od dziś, dołączyłem do nich. Dzień wypełniony był po „brzegi", przeładowany, jak to zwykle bywa na tego rodzaju eksursach, kiedy w krótkim czasie chciałoby się zobaczyć jak najwięcej. Kiedy więc utrudzeni wielogodzinną jazdą, zwiedzaniem rozmaitych miasteczek i ich osobliwości, zmęczeni pobytem w bardzo zresztą gościnnych bibliotekach, leżących na trasie naszego wojażu, kiedy więc wreszcie dotarliśmy wieczorem do zbawczego schroniska, wszyscy odetchnęli z ulgą! Nareszcie będzie można wypocząć, rozprostować zdrętwiałe w autobusie nogi, zmyć grubą warstwę kurzu i potu oblepiającego ciało, położyć się w wygodnym łóżku!

Przy kolacji, bez większego entuzjazmu przyjęto zapowiedź dodatkowej porannej wycieczki do Ciekot, odległych od Świętej Katarzyny co prawda tylko o kilka kilometrów, które jednak należało przebyć pieszo. Autokar ugrzązłby w piachu.

Tylko najwięksi entuzjaści zaczęli się półgłosem naradzać nad sposobem porannej pobudki. O świcie dołączyłem do niewielkiej grupki ziewających postaci: nie zwlekając wiele, wyruszyliśmy w kierunku ustalonym uprzednio za pomocą mapy oraz informacji personelu schroniska. Jakież było moje zdziwienie, gdy wśród wycieczkowiczów, przekładających poranną wędrówkę do miejscowości, (związanej tyloma wspomnieniami z dzieciństwem autora „Syzyfowych prac"), nad smaczny sen i dłuższy odpoczynek po diabelnie wyczerpującym dniu, znalazłem również panią Zofię. Mimo woli pomyślałem: ale czy ta starsza pani podoła trudom wędrówki? Czy to nie jest zamierzenie ponad jej siły? Wątpliwości tych nie było z kim dzielić a zresztą niedługo pochłonęły nas bez reszty inne sprawy. Czy aby dobrze idziemy, czy to jest właśnie najkrótsza droga? Wybór kierunku nie był tak oczywisty, jak się początkowo wydawało, dwukrotnie musieliśmy zawracać, aby trafić wreszcie na właściwy szlak. Była to wyprawa w całym tego słowa znaczeniu, pełna emocji nie tylko dlatego, że mieliśmy ujrzeć po raz pierwszy miejsce, które znaliśmy z książek, ale także dlatego, że mieliśmy mało czasu, że przyrzekliśmy powrócić z tej nadprogramowej eskapady w przeciągu paru godzin...

Pani Zofia zadziwiła wszystkich. Szła niemal przez cały czas w czołowej grupie... krokiem doświadczonego piechura, któremu nieobce są żadne trudności, przeszkody .W ten sposób poznałem kierowniczkę biblioteki powiatowej w Sanoku, Zofię Walciszewską.

Zawsze patrzę na p. Zofię poprzez pryzmat owej pasjonującej wycieczki. Podziwiam jej oddanie dla pracy, jej niekłamane zainteresowanie dla zjawisk otaczającego świata. Właśnie ta młodzieńcza ciekawość popychająca ją na uciążliwą wycieczkę, podczas gdy rozsądek raczej dyktowałby odpoczynek, znajdująca wyraz w indagacji jakich to też uczuć doznaje pasażer dużego odrzutowego samolotu. Pani Zofia, która znaczną część życia poświęciła pracy nauczycielskiej w rodzinnej ziemi sanockiej, nie podróżowała jeszcze nowoczesnym samolotem. Leciała wprawdzie raz przed wojną, ale to była niewielka maszyna, rozwijająca szybkość śmiesznie niską w porównaniu z dzisiejszymi olbrzymami.

Ta ciekawość, i ochota do pracy nie pozwala pani Zofii opuścić żadnej wycieczki, seminarium czy narady, organizowanej przez wojewódzką centralę. Ta sama chyba przyczyna popchnęła ją w szeregi ruchu recytatorskiego. W ubiegłym roku pani Zofia brała udział w szczecińskim festiwalu poezji K. I Gałczyńskiego gdzie miała okazję poznać żonę poety, Natalię, obecnie przygotowuje się do eliminacji środowiskowych ogólnopolskiego ruchu recytatorskiego.

Trudno jest w paru zdaniach nakreślić sylwetkę osoby, mającej za sobą pracowite życie. Nie bardzo wiadomo, o czym należy wspomnieć, co można opuścić!

Może trzeba byłoby wrócić do pewnego epizodu z gorących dni 1944 roku, kiedy to pani Zofia ryzykując życiem własnym i rodzeństwa, ocaliła dwu radzieckich żołnierzy, którzy znaleźli się za linią niestabilizowanego frontu?

Warto chyba odnotować również inny czyn pani Zofii (o którym zresztą w skromności swojej nigdy nie wspomina), bo powie on wiele o jej postawie wobec życia, wobec innych ludzi. Samotna, postanawia wziąć na wychowanie bezdomne dziecko. Projekt realizuje konsekwentnie, jej wychowanka jest dziś dorosłą kobietą, pracuje jako nauczycielka.

Pani Zofia ma opinię wymagającego zwierzchnika. „Ode mnie wymagają i ja również muszę wymagać. Zresztą trudno sobie wyobrazić, aby jakakolwiek instytucja mogła dobrze funkcjonować bez oparcia się o zasady racjonalnej dyscypliny".

Wymaga zresztą nie tylko od innych, ale i od siebie. Zawsze jest pierwsza w pracy, ostatnia też wychodzi. Może to i staroświecka zasada, ale Walciszewska jest wyznawczynią maksymy, utrzymującej, że pańskie oko konia tuczy!

Pani Walciszewska kieruje sanocką biblioteką od początku, od chwili jej powstania w 1947 roku.

Od osiemnastu lat zajmuje się organizacją sieci bibliotek w sanockim, pamięta doskonale jakże niełatwe początki, kiedy przystępowano do zakładania pierwszych placówek, kiedy dotarcie do nowo założonej biblioteki wiejskiej wymagało przebrnięcia pieszo kilometrów błotnistej drogi z paczką książek na plecach (to nie tak jak dziś instruktor, wyposażony w służbowy kożuch dojedzie autobusem niemal do każdej placówki). Wspomina lata, kiedy dookoła miasta snuły się łuny pożarów wsi, palonych przez ukraińskich faszystów spod znaku UPA, a wyjazd do biblioteki wymagał — czasem nie lada odwagi...

Ile dokonano przez te 18 lat! Ale to nie znaczy, że już wszystkie kłopoty za nami. Pani Zofia zna doskonale trudności swoich bibliotek, wie ile spośród nich zajmuje ciągle nieodpowiednie pomieszczenia, ile starań będą wymagać próby uzyskania dla nich lepszego lokum. „Mam biblioteki dobre i złe, ze względu na warunki lokalowe i niewystarczające kwalifikacje personelu. Ale mam też bibliotekarzy ambitnych, inteligentnych, uzupełniających wykształcenie, oddanych sprawie. Odchodzą nie tylko kiepscy, których staramy się zastępować lepszymi, odchodzą ci najlepsi, żenią się, wychodzą za mąż przenoszą w inne strony, wyjeżdżają za granicę..."

W uznaniu długoletniej, ofiarnej pracy pani Zofia odznaczona została w r. 1964 Złotym Krzyżem Zasługi. Chociaż weszła już w wiek emerytalny ani myśli wypuszczać steru z ręki. Sanockie biblioteki znajdują się od paru lat w wojewódzkiej czołówce. Na 22 placówki zajmuje obecnie III miejsce. Walciszewska rada by je widzieć na lepszej pozycji, którą zresztą zajmowały nie tak dawno (1964 r. Sanok znajdował się na I miejscu), na 21 powiatów osiągając 22,4 proc. czytelnictwa w stosunku do ilości mieszkańców. Pasjonuje ją, pochłania praca. Zdarza się, że zapomina o wykorzystaniu urlopu. Ludzie z województwa wysyłają ją niemal siłą na wczasy. „Bo nam się Walciszewska zamęczy ale sama, z własnej woli nie opuści biblioteki".

Utarł się zwyczaj, że słynny ze staropolskiej gościnności dom pani Zofii odwiedzają przyjeżdżający do Sanoka pisarze. Kogóż tu nie było, i Andrzejewski, Putrament, Gerhard, Mortkowicz-Olczakowa i wielu, wielu innych.

Opole Kanał — olej.

Dziewczynka — gipsoryt 1966

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

BAL POŻEGNANYCH

Teatr im. W. Siemaszkowej sięgnął po raz pierwszy po sztukę słowacką i to taką, którą Słowacy zdążyli już zaliczyć do klasyki swego repertuaru, mimo że data jej napisania jest na pewno dość świeża. I przy tym pamiętna, bo wiążąca się z wybuchem II wojny światowej. Myślę oczywiście o „Balu pożegnanych" Petra Zvona, który w dziesięciolecie żywej współpracy teatrów rzeszowskiego i preszowskiego został zagrany przez polskich aktorów, zainscenizowany przez słowackiego reżysera Milana Bobulę, opracowany scenograficznie przez prof. Marcina Brezinę i Helenę Bezakovą, która zaprojektowała kostiumy. Wartość tego przedstawienia musi być więc mierzona pod kątem tej współpracy — nie częstej w historii teatrów, ciekawej na pewno.

Zdaje mi się, że można o „Balu pożegnanych" powiedzieć, iż zaprezentował rzetelny wysiłek aktora, że był przedstawieniem przede wszystkim aktorskim. Może dzięki swobodzie, jaką pozostawił zespołowi reżyser, może dzięki nośnym rolom, które zawdzięcza się Zvonowi, może wreszcie dzięki szczególnej chęci pokazania swoich możliwości w sztuce, która tak wyraźnie podzieliła przedstawienie na polskich

aktorów i słowackich inscenizatorów.

Młodziutki dramaturg, który zmarł w 29 roku życia, a trzecim roku wojny, na pewno zasługuje na uwagę przez swoją reprezentacyjną sztukę, jaką jest właśnie „Bal pożegnanych". Jest w niej znakomity pomysł, rodem gdzieś z pirandelicznych wyobrażeń o człowieku i karkołomnych spiętrzeń sytuacyjnych; jest, jak w dobrym dramacie jego podstawowe założenie, że wszystkie role są ciekawe, jest ostre, społecznie zaangażowane widzenie świata, jest dowcip i jest poezja.

Właśnie pomysł, który ustawiłam nie bez racji na pierwszym miejscu, zadecydował o tej szalonej różnorodności, jaka złożyła się na sztukę Zvona. Pomysł konfrontacji dwóch światów: tego sprzed trzystu lat ze starą rodową szlachtą i współczesnego dramaturgowi świata pustych mieszczan, którzy ze starej ideologii feudalnej zachowali z pietyzmem kult pieniądza, dokładając doń własny cynizm i głupotę. To jest ten pierwszy konflikt — społeczny; obok Zvon układa historię dwóch pokoleń w aspekcie stosunków rodzinnych, które z mechaniczną dokładnością, lekceważąc czas, powtarzają te same konflikty i ten sam stosunek młodych do starych. Kiedy dodamy, że ingerencja praw baśniowych, gdzie wszystko jest możliwe, pozwala schodzić z portretu starej szlachcie i miesza ją pomysłowo między gości odbywającego się balu maskowego — tak pomyślane przedsięwzięcie musi prowokować sytuacje nie tylko drapieżne, ale i nieodparcie komiczne.

Milan Bobula wystawił „Bal pożegnanych" z wielkim pietyzmem dla Zvona. Było to przedstawienie o czystości niemal filologicznej, gdzie każdy wątek i każda racja była ważna, gdzie komentarz teatru był zgodny z intencjami autora, gdzie ołówek reżyserski przydatny był wyłącznie do punktowania i podkreślania tekstu. Klasyka w teatrze zawsze budzi respekt; choć czy w naszej epoce z taką pasją szukającej adekwatnej interpretacji, kiedy telewizja skraca 3-godzinne dramaty nawet naszych największych do spektakli godzinnych, kiedy dramat gubi uboczne wątki na rzecz pryncypiów zasadniczego, mogłaby zdziwić niewierność tekstowi, czy najdalej posunięta skrótowość? Wydaje mi się, że od dawna teatry otrzymały przyzwolenie na nadanie dramatowi własnego kształtu. Milan Bobula nadał właśnie sztuce Zvona kształt niemalże klasycznej wierności autorowi.

Wspomniałam na wstępie, że zaliczam „Bal pożegnanych" do przedstawień bardzo aktorskich; zespół grał na pewno ambitnie i ta ambicja przesłoniła mi niektóre potknięcia. Nieodparcie komediowe zdają mi się dwie postacie dwóch Włodzimierzów — Saara i Mancewicza. Saar jako Arystydes Król zaprezentował dojrzały warsztat aktorski

rys. J. SIENKIEWICZ

rzeczywistą swobodą głosu i gestów; zbudował swego hipochondryka, przy tym ojca rodziny, dynamicznie i jego vis comica była tak umiejętnie dozowana, że nie stwarzała ani przez moment obawy o przerysowanie; Mancewicz — młody Król i syn zarazem grał z wdziękiem wałkonia swoją rolę, był śmieszny, zadziorny i autentycznie młodzieńczy. Trzecią postać rodem z najlepszej komedii zobaczyłam w świetnej roli doktora Pyska — Juliusza Dziemskiego.

Jadwiga Wysocka zaproponowała Rozalię Król na najwyższej nucie histerii i komizmu. Myślę, że tę aktorkę o wielkim temperamencie rola zbyt ponosiła, a oklaski widowni na ogół powściągliwości nie wyzwalają...

Zdecydowanie nie pasował do swej roli Grzegorz Galiński, który z mefistofeliczną ironią i tak bardzo ekspresyjnie podawał drapieżny monolog, że ów automatycznie przestał być właściwym porte-parole autora. Zdziwiła mnie natomiast szalona dyscyplina Zdzisława Kozienia, który bardzo spokojnie grał swego hrabiego Ryszarda, wręcz na półtonach i wyciszeniach, nobliwym gestem, powściągając naturalną żywiołowość. Teofila Zagłobianka była margrabianką z portretu idealnie naiwną i liryczną, bez cienia nawet ironii czy dystansu wobec przekonań pięknej Sylwii.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. W. Siemaszkowej: Peter Zvon — „Bal pożegnanych". Reżyseria: Milan Bobula. Scenografia: prof. arch. Martin Brezina. Kostiumy: Helena Bezakova. Muzyka: Milan Novak. Asystent reż.: Franciszek Buratowski. Osoby: Z. Kozień, Z. Gorczyńska, Z. Sikora, T. Zagłobianka, W. Zawirski, W. Saar, J. Wysocka, B. Barcz-Potocka, W. Mancewicz, J. Dziemski, W. Kapłowski, G. Galiński, W. Trojanowski, F. Buratowski. Premiera 12 lutego 1966 r.

Fot. M. KOPEĆ

◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆

TADEUSZ PIEKŁO

PO REMANENCIE

W 228 numerze „Widnokręgu" ukazał się artykuł pt. „Próba remanentu" poświęcony — jakby się na pierwszy rzut oka wydać mogło — ocenie rocznej działalności Klubu Literackiego w Rzeszowie.

Jednak już po pobieżnej lekturze powyższego artykułu jasne się staje, że wstręty o Klubie Literackim są tylko pretekstem do jawnego ataku na KKM przy ZW ZMW w Rzeszowie.

Osobiście bardzo mnie obchodzą opinie autora artykułu, który jest jednocześnie prezesem Klubu Literackiego w Rzeszowie, toteż jako członek KKM-u i KL czuję się w obowiązku zabrać głos, by móc szerzej i prawdziwiej pomówić o „problemach" poruszonych w artykule.

Korespondencyjny Klub Młodych istnieje przy Zarządzie Głównym ZMW i spełnia niebagatelną rolę społeczną i polityczną, wychowując ideowych, oddanych sprawie socjalizmu, światłych ludzi, aktywistów swoich środowisk terenowych, działaczy i społeczników.

O KKM-ie pisze się dość rzadko, warto więc przypomnieć czytelnikom, jaki charakter ma ta organizacja. Nie jest to — jak mogą sądzić niektórzy — zrzeszenie czysto literackie. Nie jest także literackim przedszkolem. KKM jest potężnym ruchem kulturotwórczym. Jego celem jest rozbudzanie wszechstronnych zainteresowań. Bo w KKM-ie wcale nie chodzi tylko o tzw. „oryginalną" twórczość. Przede wszystkim chcemy wychować w KKM-ie ludzi kulturalnych, propagatorów i działaczy. Pomagamy początkującym pisarzom. Nie mamy ambicji zastępowania czy „wyręczania" Związku Literatów Polskich. Wprost przeciwnie — KKM bardzo blisko współdziała z Komisją Młodzieżową przy ZG ZLP.

KKM przyjmuje w swoje szeregi wszystkich interesujących się jakimkolwiek rodzajem twórczości. Uczymy szacunku dla sztuki i dla człowieka. Nie znaczy to wcale, że do KKM-u trafiają wyłącznie początkujący autorzy. Wstępują do KKM-u również twórcy znani i dojrzali, którzy z sympatią obserwują rozwój naszej organizacji — tacy, jak Tadeusz Nowak, Ernest Bryll i inni.

Toteż pisanie, że wystąpiło się z KKM-u, bo nie chciało się blokować miejsca młodszym, jest grzecznym wykrętem. Wszak KKM nie ma limitowanej ilości miejsc!

Ośrodek KKM-u w Rzeszowie powstał jako pierwszy z ośrodków krajowych już w roku 1960 i jest jednym z najaktywniejszych działających w kraju. Kilku członków KKM-u dorobiło się w tym czasie pozycji książkowych. Dalszych czterech członków naszego Klubu oczekuje w tym roku na swoje debiuty w Wydawnictwie Lubelskim.

W 1962 roku staraniem KKM-u wyszedł „Almanach poezji rzeszowskiej", w tym roku ukaże się drugi zbiór tego rodzaju. Rzecz jasna, to nie wszystko.

Rzeszowski Ośrodek KKM-u organizował i organizuje spotkania z wybitnymi pisarzami i krytykami. Gościliśmy u siebie między innymi Artura Międzyrzeckiego, Juliana Przybosia, Stanisława Grochowiaka. W Rzeszowie zorganizowano także Ogólnopolskie Seminarium KKM, w którym udział wzięli tacy wybitni pisarze, jak Wilhelm Mach, Antoni Olcha i Julian Przyboś. W 1964 roku, pod patronatem WK FJN zorganizowaliśmy w Rzeszowie — z udziałem Stanisława Grochowiaka — w Teatrze im. W. Siemaszkowej udane spotkanie młodych poetów rzeszowskich ze społeczeństwem, o którym Grochowiak pisał później entuzjastycznie w „Kulturze", jako o wydarzeniu bez precedensu. Zresztą i listy czytelników do redakcji „Nowin" potwierdzały sukces tego spotkania i postulowały organizowanie w przyszłości większej ilości tego typu imprez.

Dwa lata temu KKM nawiązał kontakt z Krakowskim Oddziałem ZLP, z ramienia którego pozyskaliśmy opiekuna w postaci znanego pisarza i krytyka Adama Włodka, uczestniczącego regularnie w naszych zebraniach i recenzującego utwory członków Klubu.

W ramach wymiany międzyśrodowiskowej gościliśmy u siebie przedstawicieli krakowskiego Koła Młodych, a kilku naszych członków wystąpiło ze swymi utworami na wieczorze w Krakowie przy Krupniczej.

Nie będę tutaj nudził wyliczeniem szczegółów — chodzi zwyczajnie o to, że mamy podstawy do przekonania, iż działalność KKM-u w Rzeszowie była potrzebna i owocna.

Atak autora artykułu pt. „Próba remanentu" wymierzony został w jedną z zalecanych przez Radę Krajową KKM-u sferę działalności, a mianowicie w spotkania autorskie. Nie jest to pierwszy tego rodzaju atak, poprzednio bowiem tenże autor wydrukował w „Widnokręgu" bliźniaczo brzmiący felieton, w którym za pomocą insynuacji i uogólnień nie popartych faktami, również ośmieszał młodych, występujących na spotkaniach z czytelnikami. O cóż to nie pomawiano młodych w owym felietonie! O zarozumiałość, o poklepywanie po ramieniu słynnych pisarzy, o gadanie głupstw i bredni w czasie dyskusji etc. Mojej odpowiedzi, polemizującej z tymi zarzutami „Widnokrąg" wówczas nie wydrukował, tłumacząc, iż nie ma zamiaru wszczynać dyskusji na ten temat i lokalizować jej w tutejszym środowisku.

Obecnie sytuacja jest chyba bardziej sprzyjająca, gdyż „Próba remanentu" taką dyskusję wszczęła i zlokalizowała bardzo wyraźnie. Stare, z lamusa powyciągane nieuzasadnione zarzuty posłużyły do nowego, subiektywnego ataku.

Autor „Próby remanentu" jest w Rzeszowie od roku. Spotkał się z życzliwym stosunkiem ze strony miejscowego środowiska; wiele sobie po nim obiecywano. Zaufano mu, wybierając go na stanowisko prezesa Klubu Literackiego, licząc, że będzie życzliwym opiekunem i doradcą młodzieży literackiej Rzeszowa. Należy zapytać, co było przyczyną zniechęcenia i odstępowania od KL wielu (nie tylko członków KKM!) piszących ludzi?

Nieżyczliwe stanowisko, zaprezentowane w „Próbie remanentu" nie zachęca do dyskusji. Obcy jest nam w KKM-ie ton lekceważenia i pogardy, pomniejszania — za wszelką cenę, nawet za cenę prawdy — cudzych wysiłków i wywyższania się tym kosztem. Autor „Próby remanentu" nadal bardzo wyraźnie nie rozumie, co to jest KKM (choć sam wyszedł z KKM-u) i nie chce tego rozumieć. Nie jest mu to widocznie potrzebne.

Przejdźmy do konkretnych faktów. Cytuję: „Bo przecież nie może być w przypadku KKMP — jak chcą niektórzy (podkr. TP) — mowy o pro-

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Opowiadanie Jerzego F. Sękowskiego nie jest utworem literacko doskonałym. Sporo w nim „topornośći" i szorstkości — styl dość surowy, język na ogół ubogi. Mimo to, uważamy, iż zasługuje na publikację ze względu na niewątpliwy autentyzm przeżyć w nim zawartych i szczerość.

W łaźni był już Franek. Przebrany do zjazdu leżał na ławce.

— Czemu tak wcześnie?

— Sobota... Nie dosłyszał odpowiedzi w zgrzycie opuszczanego haka. Przebrał się. Brudne, przesycone pyłem węglowym i kamiennym oraz smarami z wiertarki i wozów drelichowe ubranie było sztywne jak twardy papier. Dopiero ubrane zyskiwało na wyglądzie. Z łaźni wychodzili ostatni górnicy z popołudniowej zmiany. Zmiana nocna zjechała na dół już dawno. Teraz byli na swoich przodkach i filarach. Jedni ładowali węgiel na przenośniki, inni strzelali i czekając, aż powietrze tłoczone wentylatorami wypchnie śmierdzące i duszne gazy postrzałowe z przodków — jedli. Robota szła normalnym torem, bez względu na porę doby. Po przebraniu podszedł do Franka. Zapalili jeszcze. Mieli czas. Pobrali lampy i pochłaniacze. Zawieszone na paskach akumulatory i przyczepione do hełmów lampy dawały ostre, białe światło. Lubił tę lampę. Na początku pracy w kopalni dostał ciężką i niewygodną bombę, jak na nie wszyscy mówili, trzeba ją było nosić w ręce i dawała mało światła. Teraz było inaczej. Strumień światła kierowany ruchami głowy oświetlał wszystko wyraźnie. Ręce pozostawały wolne, a to było najważniejsze. Szli do zjazdu. Maks i Paweł zjeżdżali innym szybem. Mieszkali bliżej, a do przodka, gdzie pracowali, było prawie jednakowo z obu. Na nadszybiu było chłodno. Z przyzwyczajenia skierował wzrok w lewo, oświetlona czerwonym światłem gablota wołała napisem: „Uważaj, niż barometryczny".

— Skocz po benzynkę[1] — powiedział do Franka.

— Po co?

— Widzisz — ruchem głowy pokazał na gablotę — trzeci dzień spada — dodał, patrząc na wykres ciśnienia barometrycznego. Franek wrócił z benzynką. Weszli do klatki szybowej. Potrójne uderzenie dzwonka, klatka drgnęła i poleciała w dół. Przekręcił kontakt na lampie. Snop światła ślizgał się po prowadnicy, utrzymującej klatkę szybową w pionie i uderzał w wiązania szybu, przy ruchu głowy. Cholera — znowu nie będzie pogody — myślał. Od jutra miał dwa dni wolne. Miał jechać do domu. Tak nazywał miasteczko, gdzie mieszkała ona. Wiele sobie obiecywał po tym spotkaniu. Myślał o lesie. Pójdziemy na pół dnia do lasu. Prześpię się trochę z głową opartą na jej kolanach. Oparta o brązową, łuszczącą się sosnę, przymknie oczy i będzie marzyć. Potem wieczorem pójdziemy do kawiarni potańczyć. Będziemy tańczyć i pić wino. Odprowadzę ją do domu. Rozgrzani winem i tańcami będziemy całować się w cieniu drzew między latarniami. Warta grzechu ta Lucia. Może bym się z nią ożenił...

Klatka zwalniała. Zakołysała się elastycznie w górę, w dół i stanęła nieruchomo. Sygnalista otworzył i wyszli. Do przodka był kawałek drogi, ale nie śpieszyli się, mieli czas. Szli jasno oświetlonym, głównym przekopem. Wyglądał jak wielki tunel. Niewidoczne z daleka, skryte w obudowie jarzeniówki stwarzały wrażenie okien. Świeciły dziennym światłem. Wyglądało to tak, jakby dzień zaglądał, ciekawy co tu się wyrabia. Po kilkuset metrach wyjechali ślepym szybikiem, który łączył pokład leżący na głębokości 450 metrów z ich pokładem. Od szybiku ostro wznoszącą się dowierzchnią dochodzili do przekopu wentylacyjnego. Podwójna tama nie pozwalała dobremu, natlenionemu powietrzu ulatniać się najbliższą drogą, tylko kierowała go w bok, ku filarom, do ludzi. Pod ostrym kątem do wentylacyjnego, którym szli, biegł ich przekop. Prowadził do nowych pokładów węgla. Dokoła były stare wyrobiska, wielka calizna kamienia, a dalej był węgiel, do którego się przebijali. Robili tutaj półtora miesiąca i zapowiadało się, że zrobią te siedemset pięćdziesiąt metrów w trzy miesiące, jak planowano. Robota była ciężka. Niedaleko był szyb wentylacyjny, wydechowy, którym wychodziło zużyte powietrze z kopalni. Zawartość tlenu była poniżej dopuszczalnej normy, ale ktoś to musiał zrobić. Zarabiali dobrze i mieli ambicję. Do tej pory zostali wybrani, a to zobowiązywało. Pracowali na cztery zmiany po sześć godzin, a nieraz i mniej. Niepisane prawo pozwalało na to, o ile robota była skończona. Zaglądnął do wnęki, gdzie stała sprężarka, obsługiwana przez ludzi z wydziału maszynowego.

— Nie ma go. Znowu przyjdzie koło drugiej.

W ich przekopie było ciemno. Pawła z Maksem jeszcze nie było. Usiedli we wnęce strzałowej i czekali. Myślał o Luci. Ta szychta i będę u niej. Już jutro. Spojrzał na zegarek. Nie, dzisiaj. Ma ładne piersi — myślał. Kiedyś złapał ich na drodze deszcz. Nie przyjęła od niego wiatrówki. Lekki, mokry materiał przykleił się do ciała. Odkrywał je. Teraz myślał, że może mu się chciała taka pokazać.

— Popatrz no — głos Franka wyrwał go z przyjemnych myśli. Otworzył oczy. Stojąca na skrzyni benzynka świeciła ciemnym wydłużonym płomieniem. Za mocno podkręcona — pomyślał. Podniósł ją do góry. No tak, trochę za mocno. Zmniejszył płomień do wielkości groszka. Wolno opuszczał lampę na skrzynię. Płomień ciemniał i wydłużył się trochę.

— Wyciska trochę gazu z wyrobisk — powiedział spokojnie do Franka— niż jest już parę dni.

— Ładnie trochę, jak benzynka gaśnie. Wstał. Zdjął ją ze skrzyni i opuszczał niżej. Płomień wydłużył się, oderwał od palnika i zgasł.

— Widzisz — powiedział zmienionym głosem.

— Nic wielkiego — wyjął mu ją z ręki i przekręcał zapalniczkę. Iskry leciały, ale płomień nie chwytał.

— Widzisz? — Powtórzył Franek.

— Zaraz zapali — pomachał nią energicznie.

Przekręcił. Płomień złapał i rozpalał się wolno, z oporem. Cholera, źle jest — pomyślał. Opuszczał ją wolno. Niewiele poniżej skrzyni płomień znowu groził zgaśnięciem.

— Siedź tutaj, pójdę dalej zobaczyć jak tam jest.

— Po co będziesz szedł? Przyjdzie Maks to pójdziemy razem. Usiadł teraz wyżej, na skrzyni.

— Siadaj! — Podsunął się, robiąc mu miejsce.

— Dobra jest — postawił benzynkę na skrzyni ,a sam siadł na starym miejscu. Tutaj nie ma się czego bać — myślał, dalej będzie gorzej. Może być całkiem źle. Przypomniał sobie, że zaraz w pierwszych dniach zjechali z niwelacji w dół. Potem wyrównali, ale wgłębienie w poziomie pozostało. Teraz jest pełne tego świństwa. Przyjdzie Maks, to zobaczymy. Pomyślał nagle, że oni może już... i nie dokończył. Niemożliwe. Byliśmy przed dwunastą, oni nie mogli ziechać tak wcześnie. A jak zjechali? Wyobraził sobie jak idą. Pierwszy Maks, za nim o wiele niższy Paweł. Maks coś mówi, tamten nie odpowiada. Maks ogląda się. Paweł leży, on jeszcze coś mówi, ten nic, schyla się, by go podnieść, kleka przy nim. Oddycha — n i e m a c z y m. Chce się podnieść, już wie — nie zdążył. Wizja była tak plastyczna, że zerwał się.

— Wiesz — starał się mówić spokojnie, do zaniepokojonego Franka — wiesz, oni może już poszli do przodka.

— E, gdzie — powiedział niepewnie — nie zjechali.

— Nie ma obsługującego sprężarki, a przychodzą razem.

— Kiedyś, nie zjechał z nimi. Przyszedł dopiero godzinę po nich.

— To kiedyś. Dzisiaj byliśmy w czas. Nie zjechali.

— Cholera wie? — Może naprawdę nie zjechali — myślał. A jak jednak, to co? Uspokoił się. Parę lat już robię, a zachowuję się jak dziecko.

— Nie zjechali, na pewno nie zjechali.

— Biegaj pod szyb. Stój! — Krzyknął, widząc że już się zerwał — zadzwoń po ratowników. Powiedz co i jak, niech przyjadą. Biegnij na wentylacyjny, po drodze masz telefon, wiesz gdzie.

— A ty co? Gdzie pójdziesz? Tam?

— Popatrzę kawałek. Boi się o mnie, pomyślał.

— Chodźmy razem.

— Jak tam są, to nie my ich wydostaniemy, tylko ratownicy. Leć. Klepnął go po ramieniu. Jak wrócisz, czekaj na ratowników. Pamiętaj — zawołał za nim. Wziął benzynkę, zwiększył płomień. Szedł do przodka i trzymał ją na wysokości piersi. Zatrzymał się, gdy zaczął się spadek. Opuścił lampę, i płomień wydłużył się mocno. Gdyby była skręcona normalnie zgasłaby — pomyślał. Podnoszeniem głowy kierował światło lampy coraz dalej. Niewiele widział. Porozrzucane między sztusami[2] i między torami leżały betoniki i pierścienie ŁP. Żelazne pierścienie zastępowały dawną drewnianą obudowę, zbliżony do kulistego kształt przyjmował ciśnienie mas kamienia na całą powierzchnię, a tym samym zwiększał jej wytrzymałość. Pola między pierścieniami wykładało się betonikami, a za nie wkładano kamień dla usztywnienia obudowy, która dopiero teraz stanowiła całość z pokładem. Podszedł parę metrów dalej. Płomień w benzynce ciemniał i wznosił się. Pomyślał o Luci — to już jutro, nie, dzisiaj. Poczuł strach. A może ani dziś, ani jutro. Lęk przykleił mu nogi do spągu. — Maks — myśli z Luci przeszły na Maksa. Był u nich parę razy. Po pokoju biegał jego syn, miły, żywy chłopak. W przyszłym roku idzie do szkoły — mówił Maks.

Popatrzył na płomień w benzynce. Uniósł ją wyżej, płomień zmalał. Dobra jest — powiedział do siebie. Wszedł na szynę, posuwał się wolno do przodu. Powoli obniżał lampę. Po chwili zatrzymał się. Dalej nie można było iść. Benzynka nie może mi zgasnąć — pomyślał. Uniósł ją do poziomu głowy i świecił w przodek, nie było widać nikogo. Wolno ruszył dalej. Jeszcze kawałek — myślał balansując na szynie. Tylko dwa, trzy metry, potem wejdę na betoniki. Leżały zaraz przy sztusie, wyżej, o wiele wyżej niż szyny. Tam nad nimi było powietrze, był tlen. Nie jest tak źle — wmawiał w siebie, patrząc na lampę. Zatrzymał się. Było cicho. Sprężone powietrze doprowadzone do przodka rurami w kilkumetrowych odcinkach syczało, uchodząc z nieszczelnych połączeń. Ręka trzymająca uniesioną benzynkę zmęczyła się. Odruchowo opuścił ją. Ściemniały płomień poderwał się do góry wydłużając, oderwał od palnika i zgasł. Bez niej poczuł się bezbronny. Znowu ruszył naprzód. Był blisko betoników. Teraz skoczę — pomyślał, czując, że słabnie. Skoczył. Trafił nogą na luźno leżący betonik. Ten zsuwał się na szyny, nie dając oparcia wytrąconemu z równowagi ciału. Podparcie drugą nogą nie pomogło. Upadł na twarz. Puszczając benzynkę wyciągnął przed siebie ręce. Lewa trafiła w szczelinę. Niedbale, szybko złożone betoniki, zruszone upadkiem, zsuwały się przyciskając rękę. Szarpnął się, próbując ją wyrwać. Skurczone wydechem płuca czekały. Tlenu, chociaż trochę tlenu... Nie było go tutaj, był wyżej, pół metra, może metr, wyparty tam cięższym od niego gazem. Dusząc się szarpał uwięzioną ręką. W ostrym świetle lampy na pozornie gładkiej powierzchni betoników widział ich ostrość, szorstkość. Pory kryjąc w cieniu swoje dna, wyglądały jak kropki. To był ostatni obraz. Pozbawiona woli głowa opadła dotykając wargami zimnych, szorstkich betoników.

Siedząc w pociągu rozpamiętywał to jeszcze raz. Byłbym się skończył, gdyby Franek nie nadleciał z Maksem i Pawłem. Gdy odzyskał przytomność stali przy nim.

— Po coś pieronie tam lazł — spytał Maks.

— Myślałem... przerwał.

— Myślał, że wy tam jesteście — powiedział Franek.

— Wiem, wiem, ale tak samemu nie można. Co byś nam pomógł?

— Odkręciłbym w przodku powietrze, wyczyściłoby przekop — powiedział. Piekła go poraniona ręka, czuł zawroty głowy i mdłości. — Nie wiem, czy będę mógł dziś robić.

— Damy radę sami — powiedział Paweł rozrywając pakiet i bandażując mu rękę — wyjedź na powierzchnię. Zajdziesz sam pod szyb?

— Pewno, nic mi nie jest, tylko ta ręka.

— Poczekajcie tu — przykazał Maks.

Poszedł do przodka. Benzynkę trzymał na wysokości piersi. Po chwili szedł z benzynką wiszącą u ręki. Otwarty zawór wyrzucał powietrze z siłą sześciu atmosfer. Wycofali się w tył. Maks wrócił z przodka. — Czysto — powiedział. Poszli razem do przodka.

— Kaj idziesz pieronie? Idź pod szyb — powiedział Maks.

— Zaraz.

Zatrzymał się przy nieszczęsnych, źle poskładanych betonikach. Tutaj się mogłem wykończyć — myślał patrząc bardziej z ciekawością niż z lękiem.

— Gdyby nie to nieszczelne złącze, mogłoby być z tobą źle — powiedział Paweł, pokazując syczący spod betoników przewód.

— Jak mnie wyciągnęliście? — Spytał.

— Widać było po świetle, że tu jesteś. Maks mówił, że nie ma się co bać, jak ty doszedłeś aż tutaj. Kazał nam zostać w tyle, a sam poszedł po ciebie. Powiesił benzynkę i odwalał betoniki z twojej ręki. Prostował się, oddychał i dalej odwalał. Potem wziął cię na ramię i przyniósł tutaj. Robił ci sztuczne oddychanie. Zaraz wróciłeś do siebie. Spojrzał na zegarek. Siedemnaście po dwunastej — zdziwił się, że tak wcześnie.

W przodku Maks i Franek rozbierali się.

— Cała lewa strona odwiertana — powiedział Paweł. Zdążymy wyjechać o piątej.

— To ja idę.

— Zajdziesz sam?

— Zajdę, nic wielkiego — podszedł do Maksa. — Dziękuję ci Maks, wiesz tak...

— Coś ty pieronie?

— Nic, rano jadę do siebie, do dziewczyny.

— To dobrze. Powodzenia — roześmiał się głośno.

Mówią, że tutaj jest złe powietrze — myślał. Bujda! Ten, kto to mówi nigdy nie był na dole. Ocenić można tylko przez porównanie. Tutaj i na dole.

Wykąpał się i przebrał. W punkcie sanitarnym zmienił opatrunek. Zaczerwieniona i lekko spuchnięta ręka, przecięta i pościerana szorstkością betoników nie wyglądała źle. We wtorek zjadę normalnie — myślał. Pośpieszny minął Kraków i Tarnów, Czarną i Grabiny. Z okna widać było Chłodnię i Zakłady Mięsne. Pociąg zwalniał. Będzie czy nie — myślał wysiadając. Stojący pociąg zasłaniał mu widok na budynki stacyjne. Wymijając ludzi wyszedł przed dworzec i rozglądnął się.

Była. Stała przy kiosku i patrzyła na wychodzących. Zobaczyła go. Uśmiechnęła się, szła do niego.

JERZY F. SĘKOWSKI

[1] Lampa bezpieczeństwa, służąca do wykrywania gazów wybuchowych i duszących.

[2] Boki przekopu.

Nowe władze KKMP

W dniu 17 bm. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, działającego przy ZW ZMW w Rzeszowie.

Sprawozdanie z działalności ustępującego Zarządu złożył zastępca przewodniczącego Tadeusz Piekło. Później, w ożywionej dyskusji poruszono wiele istotnych dla młodych twórców problemów. Mówiono między innymi o konieczności dalszego zapraszania na zebranie Klubu wybitnych krytyków i pisarzy. Przyczyni się to do pogłębienia wiedzy o współczesnej literaturze i do rozwoju warsztatu twórczego członków Klubu. Podkreślano również potrzebę żywszego zaangażowania się młodych twórców w działalność kulturalno-oświatową, gdyż jest to jednym z podstawowych założeń Klubu. Sprawy te szczególnie mocno akcentował obecny na zebraniu przewodniczący ZW ZMW Julian Krochmal oraz wiceprzewodniczący Rady Krajowej KKMP Tadeusz Chudy.

Po ustaleniu planu działania na najbliższy okres nastąpił wybór i ukonstytuowanie się nowego zarządu. W skład nowych władz Klubu weszli Tadeusz Piekło (przewodniczący), Tadeusz Kubas (zastępca przewodniczącego), Józef Pomianek (sekretarz) oraz Józef Janowski, Czesław Piotr Kondraciuk, Zdzisław Ostrowski i Andrzej Zabierowski — członkowie.

Ruch amatorski na zakręcie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

matorski we wsiach i miasteczkach albo będzie zamierał z wielką szkodą dla naszej kultury lub przestawi się na inne, zgodne z wymogami czasu i przemian socjalno-obyczajowych tory. Bo jak powiada Stefan Żółkiewski w książce „O kulturze Polski Ludowej"... „siłą buntu przeciw tradycyjnej kulturze i jej stylowi życia jest dziś na wsi młodzież... W warunkach socjalistycznych nowe życie mas ludowych, zasadniczo zmodernizowane, musi znajdować nowy wyraz na poziomie ogólnoludzkich, trwałych osiągnięć kulturalnych, na poziomie nowoczesnych potrzeb". A czego młodzież wiejska potrzebuje w tym zakresie, jakie są ich zainteresowania kulturalne można dowiedzieć się jedynie przez badanie opinii środowisk, w których się pracuje. Ośrodki winny zająć się również i tą sprawą, a kierować takimi sondażami opinii społecznej winni socjologowie kultury, dla których winny się znaleźć etaty w Woj. Ośrodkach Instr. Metod.

Wydaje mi się, że zespół trudności, niedociągnięć i braków, które stały się przedmiotem moich refleksji poważnie utrudnia twórcze włączenie się amatorskiego ruchu artystycznego do kultury masowej w Polsce. Ale to są trudności zakiełkowania i wzrostu i wierzę, że potrafimy je ominąć.

JAN GRYGIEL

◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◀

PO REMANENCIE

(Ciąg dalszy ze str. 3)

fesjonalizmie. Zgódźmy się wreszcie z faktem, że pisarz profesjonalista to ten, który jest członkiem Związku Literatów Polskich". A któż to z KKM-u zgłaszał pretensje do miana pisarza — profesjonalisty? Skąd prezes KL dowiedział się o takich ciągotach. Ponieważ o tym nic nam nie wiadomo, można chyba założyć, że to sobie po prostu wymyślił, ustawiając przeciwnika do ciosu. Zmyślania nas nie interesują. A do nich zaliczyć musimy również i to twierdzenie, że młodzi poeci pod płaszczykiem pisania wierszy usiłują robić „interesy".

Członkowie KKM-u występują zbiorowo na wieczorach autorskich. Nie widzimy w tym nic złego. Taka praktyka pozwala na konfrontację usiłowań i dokonań z poglądami i opiniami czytelników, prowadzi do popularyzacji poezji w szerokich kręgach społeczeństwa, służy wielostronnie. Dodać należy, że spotkania owe organizuje ZW ZMW na wyraźne zapotrzebowanie środowisk wiejskich. Autor „Próby remanentu" wmawia czytelnikom, że poeci od kilku czy kilkunastu m i e r n y c h wierszy bezkarnie i z upodobaniem organizują sobie „dzikie" spotkania w terenie. Tym wymyślonym postaciom imputuje się „niezdolność samokrytycznego spojrzenia na własne utwory... niemożność dokonania konfrontacji z dorobkiem już uznanych autorów z tego prostego powodu, że się dzieł tychże autorów nie czyta", słowem — analfabetyzm literacki. Trudno oceniać takie orzeczenia inaczej niż jako czyste fantazje.

W dalszym ciągu w „Próbie remanentu" mówi się o „zdobywaniu sławy fuksem", o „szachrajstwie", o niechęci do pracy nad sobą, rodzącej się z małej ambicji zostania poetą kamienicy, powiatu lub województwa. Nie sposób się w tym wypadku nawet obrażać, można tylko roześmiać się z tego ślepego zagalopowania.

Jeśli autor wzmiankowanego artykułu uznał za potrzebne wystąpić z atakiem na KKM, winien był uczynić to uczciwie i poprzeć swoje oskarżenie faktami. Mamy chyba prawo domagać się tych faktów, miejsc i nazwisk.

Zaatakowano zresztą nie tylko rzeszowski KKM, ale także „kilka tysięcy miernych poetów", czyli „autorów kilku czy kilkunastu wierszy", którzy „za mało mają do powiedzenia, by się wznieść nad średnią przeciętną" (?!). Naklejając ochoczo tym kilku tysiącom młodych etykietkę „mierny" czy przeciętny, autor artykułu dowodzi, że nie ma nic gorszego niż być miernym lub przeciętnym i doradza cierpliwość. Do kogo ta mowa? Wszyscy znamy prostą prawdę, że na sukces trzeba poczekać, zapracować, i że nie ma tutaj żadnej pewności nie tylko początkujący, ale także sławiony „profesjonalista". Więc skąd ta słodka pewność, że wśród autorów „kilku czy kilkunastu wierszy" nie ma indywidualności, które być może prześcigną mistrzów. Po co tych godnych szacunku ludzi przedwcześnie zrażać i obrażać? Czy tak ma wyglądać „pomoc"?

Twierdzenie, że powstanie „Klubu Literackiego nie zachwyciło samozwańczych literatów" jest następnym łatwym do udowodnienia fałszem. KKM zabiegał o utworzenie Klubu Literackiego. Wszyscy nasi członkowie weszli do KL na prawach członków, a trzy osoby również i do zarządu. Inni członkowie Klubu Literackiego po kilku zebraniach zrezygnowali, amosfera bowiem Klubu obstręczała; nie było w KL możliwości szczerej dyskusji. Stąd coraz mniejsza frekwencja, stąd spadek zainteresowania pracą KL. Trzeba to sobie otwarcie powiedzieć, a nie doszukiwać się przyczyn tego faktu w jakimś wyimaginowanym bojkocie.

Nie odbieramy Klubowi Literackiemu jego niewątpliwych zasług: sprowadził lub (częściej) skorzystał z pobytu na tym terenie kilku wybitnych pisarzy i krytyków, aby zaprezentować ich członkom Klubu. Zarząd Wojewódzki ZMW parokrotnie nawet finansował te spotkania z budżetu KKM-u, wychodząc ze słusznego założenia, że współpraca między KL i KKM-em jest nieodzowna i pożyteczna. W artykule nie wspomina się o tym ani słowem.

Pragniemy dobrych stosunków z Klubem Literackim (do którego przecież należymy), chcemy, by działalność KKM-u i Klubu Literackiego wzajemnie i harmonijnie wspierała się i uzupełniała. Nie rościmy pretensji do monopolu na aktywizację środowiska piszących Rzeszowszczyzny, jesteśmy bowiem zdania, iż jest to rywalizacja w zamyśle jałowa i podyktowana niskimi ambicjami osobistymi. Toteż pytamy — komu służą waśnie i podjazdowe potyczki?

Wierzymy prawdziwie, że mimo wszystko znajdziemy wspólny język z Klubem Literackim w Rzeszowie i nie utożsamiamy — wzorem niektórych — jednostki z organizacją typu społecznego. Chodzi o zbyt wielką sprawę, by bawić się w urazy i anse.

Pomówienia o niechęć do uczenia się od wybitnych pisarzy są bezpodstawne. Wiadomo, że na zebrania KL przychodzą z reguły ludzie, zamieszkali w Rzeszowie. Inni nie przyjeżdżają m. in. i dlatego, że Klub Literacki nie zwraca kosztów podróży i nie każdego stać na uszczuplenie budżetu rodzinnego o kilkaset złotych miesięcznie.

Nie jest całkowicie słuszne stwierdzenie, że to dopiero KL „dał nam" współpracę z Wydawnictwem Lubelskim. Kontakty z wymienionym wydawnictwem rzeszowski KKM posiada od dawna (dowód — tomiki rzeszowskie tam wydane).

Autor „Próby remanentu" wyraża pogląd, że warunkiem powstania Oddziału ZLP w Rzeszowie jest istnienie na tym terenie Klubu Literackiego, który jakoby ma być „zalążkiem" oddziału ZLP. Jest to pogląd z gruntu błędny. Ani KL, ani KKM nie są „zalążkami" Oddziału ZLP. Warunkiem powstania Oddziału ZLP jest zamieszkiwanie na tym terenie odpowiedniej liczby ludzi, posiadających dostateczny dorobek książkowy, by móc z powodzeniem ubiegać się o członkostwo ZLP.

I jeszcze jedno wyjaśnienie: zarzut, iż nie wszyscy członkowie KL zjawili się na zebraniu, na którym przyjezdny krytyk oceniał ich wiersze, ma bardzo proste wytłumaczenie. Prezes Klubu Literackiego oddał kilka tekstów jednego z kolegów do zrecenzowania (bez wiedzy autora!); następnie nie powiadomił zainteresowanego, że jego wiersze będą omawiane; kolega ten wyjechał służbowo — nie mógł więc przeczytać anonsu w „Nowinach" i — oczywiście! — duchem świętym nie będąc, przybyć nie mógł. I kto tu komu robi na złość? Nie tłumaczyłbym się drobnego w gruncie rzeczy zdarzenia, gdyby nie to, że ilustruje ono znakomicie sposoby działania i mechanikę stwarzania zarzutów. Najtrudniej jest polemizować z plotką i autor „Próby remanentu" świetnie o tym wie.

(W artykule polemicznym Tadeusza Piekły zostały dokonane pewne skróty) — redakcja.

TADEUSZ PIEKŁO

BOGDAN LOEBL

♣ ♣ ♣

Uważny czytelnik na pewno zauważy, że w artykule T. Piekło, oficjalnie używana dotąd nazwa: „Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy" występuje już jako „Korespondencyjny Klub Młodych". Z faktu tego wysnuć można dwa wnioski: a) że T. Piekło jest pojętnym czytelnikiem utworów prezesa Klubu Literackiego, b) że T. Piekło jest człowiekiem roztargnionym, który po prostu owo: „Pisarzy" zgubił. Nie mam zaufania do ludzi, którzy gubią. Obojętnie, czy gubią oni bomby wodorowe, czy też wyrazy, ponieważ właściwie użyty wyraz może wywołać wybuch, a niewłaściwie użyta bomba może pozbawić świat wyrazu.

Wystąpienie moje nie jest próbą polemiki z utworem T. Piekło, gdyż nie polemizuje się z humoreskami. Jeżeli próbuję podzielić się z czytelnikami kilkoma refleksjami na temat utworu „Po remanencie", to czynię to z tego względu, że utwór ten wnosi nowe elementy formalne do form satyrycznych.

Uważny czytelnik zauważy, z jaką logiką zbudowany jest wzmiankowany utwór. „O KKM-ie pisze się dość rzadko" — stwierdza T. Piekło, po czym nieco dalej — „KKM jest potężnym ruchem kulturotwórczym". Gdyby „Po remanencie" nie był humoreską, można by zapytać, dlaczego o tak potężnym ruchu kulturotwórczym „pisze się u nas dość rzadko". I o to właśnie idzie, ażeby padło to pytanie. Ażeby więc nie sprawiać autorowi „Po remanencie" przykrości — spróbujmy udawać, że traktujemy jego humoreskę jako artykuł. To jedna z podstawowych reguł proponowanej nam przez T. Piekło zabawy...

W dużej części „artykułu" T. Piekło zajmuje się osobą prezesa Klubu Literackiego (za co prezes Klubu Literackiego jest zobowiązany T. Piekło, gdyż od dawna uważa, iż o wiele za mało poświęca się uwagi jego osobie) pisząc np., że: „Autor „Próby remanentu" (...) spotkał się z życzliwym stosunkiem ze strony miejscowego środowiska" (przy okazji zwraca się uwagę T. Piekło, że w Rzeszowie środowisko literackie dopiero się tworzy).

Zajmując się nadal osobą prezesa Klubu Literackiego — T. Piekło stwierdza, że tenże w swym felietonie „przy pomocy uogólnień nie popartych faktami ośmieszał młodych występujących na spotkaniach z czytelnikami", a nieco dalej, że do „zmyśleń" (...) „zaliczyć musimy również i to stwierdzenie, że młodzi poeci pod płaszczykiem pisania wierszy usiłują robić „interesy". Wystarczy zestawić te dwa fragmenty, ażeby zobaczyć, co należy robić, ażeby od razu być bokserem i workiem przez tego boksera atakowanym. Bo oto najpierw przyznaje się, że młodzi poeci występują na spotkaniach z czytelnikami, a potem oburza się, iż zarzuca się młodym poetom, że robią „interesy", którymi przecież są, w przypadku młodych poetów, płatne spotkania autorskie. Przy okazji T. Piekło wyjaśnia się, że pisywanie artykułów, w których uogólniając pewne sprawy porusza się istotne problemy, jest zajęciem zupełnie innym, aniżeli pisywanie donosów, w których w miejsce uogólnień i problemów wpisuje się nazwiska. Jak dotąd, prezes Klubu Literackiego pisuje artykuły, w których uogólniając pewne sprawy stara się traktować o takich czy innych problemach. Jeśliby jednak (chociaż nic na to na razie nie wskazuje) prezes Klubu Literackiego doszedł do wniosku, że forma druga jest formą doskonalszą — nie omieszka skorzystać z fachowej porady.

W pewnym miejscu swego utworu T. Piekło raduje się, że KKM (P...) w ciągu sześciu lat swego istnienia zdołał sprowadzić do Rzeszowa sześciu pisarzy oraz że ostatnio wstąpili do KKM (P...) Ernest Bryll i Tadeusz Nowak. T. Piekło prosi się, ażeby nie rozśmieszał prezesa Klubu Literackiego za bardzo, i nie pisał, że T. Nowak i E. Bryll wstąpili do KKM (P...), gdyż nawet w utworach satyrycznych powinna istnieć nić łącząca rzeczywistość z fantazją. Fakt, że zawodowi literaci (o czym zresztą pisałem w „Próbie remanentu") pomagają młodym z KKM (P...) — nie należy interpretować w ten sposób, w jaki interpretuje go T. Piekło, nawet jeżeli pisuje się utwory satyryczne. T. Nowak i E. Bryll są bowiem zawodowymi literatami i należą do ZLP, natomiast KKM (P...) jest organizacją skupiającą początkujących. Okres, w którym T. Nowak i E. Bryll należeli do początkujących, o ile mi wiadomo, już minął.

Poglądy (które wyraziłem w felietonie „Spotkania literackie?" oraz w artykule „Próba remanentu") podtrzymuję w całej rozciągłości. Nadal uważam, że nie należy mieszać pojęcia „literat" i „pisarz" z pojęciem „młody, początkujący poeta" i „młody, początkujący prozaik" z tych samych względów, dla których odróżnia się członków zespołów amatorskich od zawodowych aktorów. Każdy zawód osiąga się drogą żmudnego doskonalenia minimalnych umiejętności warsztatowych. Szewcy — otrzymują dyplomy rzemieślnicze po zdanych egzaminach, aktorzy kończą odpowiednie studia, piszących — w poczet członków Związku Literatów Polskich przyjmuje kompetentna Komisja Kwalifikacyjna ZLP. Jak powiedział kiedyś Tadeusz Borowski: „Młody pisarz to nie ziemniaki, które sadzi się wiosną, a zbiera jesienią".

BOGDAN LOEBL

Redakcja nie podziela w pełni poglądów zawartych w drukowanych wyżej artykułach polemicznych. Zastrzegamy sobie prawo zajęcia własnego stanowiska.

Kilkakrotnie zapowiadany przed niedzielną premierą „Azyl" Grzegorza Lasoty stał się rzeczywiście rewelacją ubiegłego tygodnia telewizyjnego. Pokusił się w nim Lasota o rzecz niesłychanie trudną — o interpretację dogłębną dzieła sztuki, o dotarcie do źródła twórczych inspiracji, o wyjaśnienie związków wyobraźni i rzeczywistości. Zagadnienie jest na tyle trudne, że już w założeniu niesie obawy o ostateczny efekt, z tym większą przeto satysfakcją dla autora przyznać muszę, że efekt był rzeczywiście szokujący, film odkrywczy i bardzo potrzebny. Ubóstwo tematów poświęconych sztuce w telewizji jest obecnie przerażające i gdyby nie prof. Zin, który z niezmienną pasją usiłuje nas wprowadzić w świat artystycznych pojęć, można by z czystym sumieniem stwierdzić, że są w ogóle nieobecne. Do przeszłości bowiem należą gawędy prof. Białostockiego o malarstwie, prowadzone przezeń z talentem urodzonego causera, które były kwintesencją wiedzy o sztuce w ogóle. Toteż kiedy w tę pustkę wszedł Lasota ze swoim filmem — dokumentem i zaprezentował widzom nieco niesamowitą twórczość Józefa Gielniaka — trudną, mało komunikatywną, daleką schlebianiu panującym modom — nie można powstrzymać się od entuzjastycznego przyjęcia jego propozycji. Bo myślę, że film ten poza swoimi niewątpliwymi walorami oświatowymi, był także propozycją w zakresie samej sztuki filmowej.

Gielniak — syn emigranta polskiego, urodzony we Francji, dziś zamknięty w sanatorium bukowieckim, skazany na nie, cichym głosem czyni nam wyznania o swej sztuce. Mówi z trudnością — szczery, wręcz opętany prawdą, a może raczej chęcią dotarcia do prawdy, sam już próbuje określić swoje linoryty, z których pierwszy powstał na znalezionym skrawku starego linoleum i powstał jednocześnie jako bunt przeciw rzeczywistości świata chirurgii, chorobliwym obsesjom, męczącym koszmarom. To jest pierwsze wyznanie.

Następne układają się w logiczny ciąg poszukiwań wyjaśnień; jakiegoś klucza do własnego wnętrza. Nazywa to sam „wejrzeniem od zewnątrz do wewnątrz" i przyznaje, że sprawy techniki czy zagadnień estetycznych są dla niego bez znaczenia, że choroba i przyroda czarodziejskiego Bukowca inspirują go nieustannie, a moment wzruszenia zawiązuje wizję. Zresztą, dodaje, źródło inspiracji jest różne i zaraz opowiada o wyprawie do piwnic sanatoryjnych, gdzie kiełkujące ziemniaki przyprawiły go o szok, kiedy przyszło uświadomienie, że stanowią połączenie bezwstydnego zdrowia z chorobliwą starością; są samą kwintesencją życia i śmierci. A potem w monotonnym rytmie, odmierzanym piękną muzyką Komedy, przesuwają się linoryty z motywem kiełkujących bulw, motywem bukowieckiego krajobrazu, gdzie jak czarodziejska góra panuje zamczysko — sanatorium. Wyjaśnia się ta sztuka poprzez krajobraz i dramatyczną abstrakcję świata szpitalnego, poprzez niesamowicie szczere obnażanie własnego wnętrza. Scenarzysta i reżyser nie komentują niczego.

Poświęciłam „Azylowi" Lasoty dużo miejsca; nieczęsto niestety zdarza się nam zobaczyć fenomen z dziedziny tak trudnej, jaką jest film o sztuce.

Tym bardziej łatwo mi to przyszło, że miniony tydzień znowu, poza dwoma spektaklami, żadnych innych rewelacji nie przyniósł. Zobaczyliśmy inteligentne i dowcipne przedstawienie teatru łódzkiego „W 80 dni dookoła świata" oraz koszmarny salon strasznych mieszczan w poniedziałkowym teatrze z Warszawy. „Ostatni" Gorkiego skupił w obsadzie znakomitości aktorskie, jak Gordon-Górecką, Krasnowieckiego czy Machowskiego, grających koncertowo, niestety salon męczył monotonią wiecznych wejść i wyjść aktorów, które reżyser spektaklu — J. Bratkowski punktował w sposób absolutnie denerwujący.

Z przyjemnością także odnotowuję występ harcerskich zespołów z Dynowa i Lubaczowa, bo inteligentne rozgadanie tych dziewcząt i chłopców było rzeczywiście miłe, naturalne i pokazało młodzież dwóch powiatów Rzeszowszczyzny w programie ogólnopolskim z najlepszej strony.

Krystyna

P.S. To co działo się z 15 minutami programu lokalnego tuż po „Dzienniku" w ubiegłą środę przejdzie do historii absolutnej nieudolności i lekceważenia widza! Spiker z Katowic anonsuje film czeski „Bokser i śmierć" oraz przeprasza, że pani z Poznania pomyliła zapowiedź; zaczyna się czołówka filmu, w której bohater wali pięściami w skórzany wór. Ten niepozorny obraz przerywa nagle przegląd muzyczny z Poznania... Kiedy zdążyliśmy już solidnie poklać, znowu nagle wpada na antenę Warszawa z reportażem z Ciechanowa, i to najpierw z obrazem i dźwiękiem, później już tylko z samym dźwiękiem. W atmosferze wariacji i bałaganu mija czas programu lokalnego; wtedy wraca na ekran uśmiechnięta Edyta. Nawet nie przeprasza! K.

NOWE KSIĄŻKI

KPINY ZZA KURTYNY

W serii wydawniczej Biblioteka Teatrów Amatorskich ukazała się cenna pozycja zwłaszcza dla kabaretów, zespołów estradowych i wszystkich teatrów amatorskich małych form. Jest to zbiór skeczów, satyrycznych scenek i monologów Janusza Osęki zatytułowany: „Kpiny zza kurtyny". Autor, znany satyryk zebrał w tym zbiorku utwory, które powstały w wyniku jego współpracy z teatrami satyrycznymi, radiem i telewizją. Dowcipnie i celnie atakuje wiele plag i niedomagań naszych czasów, ale przede wszystkim bawi i śmieszy. To nie jest jakaś pryncypialna satyra piętnująca i demaskująca, lecz twórczość, w której wielką rolę jak zwykle u Janusza Osęki odgrywa „vis comica". Wykonawstwo na scenach amatorskich tych utworów nie sprawi żadnych kłopotów, gdyż nie wymaga ani dużej obsady, ani wyszukanych kostiumów, ni też zbyt wielu rekwizytów.

Książkę wydała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w nakładzie 3 tysięcy egzemplarzy. J. G.

OPOWIADANIA MELANCHOLIJNE

Nowa książka znanej krakowskiej pisarki Hanny Mortkowicz Olczakowej na pewno nie sprawi czytelnikom zawodu. Jest to zbiór dziewięciu opowiadań pełnych ciepła, liryzmu, a równocześnie melancholii. Zaduma pisarki nad relatywizmem wartości w życiu ludzkim, nad niszczącym działaniem czasu, nad samotnością człowieka nadaje tej prozie niepowtarzalny urok. „Spadek i inne opowiadania" mają charakter retrospektywy — autorka ciągle dokonuje w nich konfrontacji teraźniejszości, która zawsze jest punktem wyjścia opowieści z obrazami i wspomnieniami z przeszłości. Dużą rolę w opowiadaniach odgrywają przeżycia okupacyjne, które decydująco rzutują na obecny los bohaterów. Nie brak przy tym wyraźnych motywów autobiograficznych, od których, jak sama autorka wyznaje, nie udało się jej uwolnić. Swój zamiar autorski pisarka określa następująco: „Sens wszystkich opowiadań, zebranych w tym zbiorze stanowią sprawy wartości i jej nieustannych przemian w czasie. Niewątpliwie ciągła zmiana cen na mąkę i buty, nazwiska i sytuacje rodzinne, wielkie katastrofy fortun i ich spadkobierców, idei i ich wyznawców były nieuniknionym skutkiem olbrzymich wstrząsów politycznych i społecznych, rewolucyjnych przewrotów, które niszczyły jedne formy życia, a stwarzały inne. Ale dla nas, zwykłych, skromnych ludzi, którzy dostali się między młyńskie kamienie historii, te wielkie przewroty tłumaczyły się wymową drobnych faktów codziennego bytu zmieniającego się z dnia na dzień, dewaluacją lub hossą cen ustalonych przez tradycję na chleb i czynsz, koszt dobrego imienia i taksę pogrzebu".

Z zadumy nad tymi sprawami powstała smutna i głęboko prawdziwa książka.

Hanna Mortkowicz Olczakowa: „Spadek i inne opowiadania" Wyd. Lit. Kraków 1965 r. J. G.

NA WPROST

DARMOWI MECENASI

Pisaliśmy i piszemy o mecenacie sztuki za mało i za rzadko. I dlatego, że w wielu ośrodkach naszego kraju i ogniwach naszego życia mecenatu takiego nie ma, i dlatego, że niektóre — istniejące formy tego mecenatu — przybrały wymiar dość opaczny i sprzeczny z samą jego istotą. Realizując bowiem formę mecenatu społecznego niektórzy działacze, a nawet całe organizacje uznały, że mecenat istnieje tylko i wyłącznie po to, by im, jako MECENASOM KULTURY, przysporzyć splendoru. Nie samej kulturze, lecz samej godności mecenasa. I naprawdę twierdzenie to nie jest przesadą z mojej strony, gdyż podobny tok rozumowania szerzy się nagminnie i wygląda na to, że będzie istniała sama kąpiel, o dziecku natomiast słuch zaginie. Jak grzyby po deszczu zaczęły w Polsce powstawać latem ubiegłego roku „Biennale" i „Plenery", na których artyści za dwutygodniowe wyżywienie i mieszkanie w szkołach ofiarowywali organizatorom jedną lub dwie prace w praktyce o wartości kilkakrotnie przewyższającej to, co otrzymali od organizatorów.

Jednym z zasadniczych zadań mecenatu społecznego w sztuce jest to, że stawia zadania artystom i stwarza im warunki zarówno pracy, jak i bytu. I tutaj nie może istnieć żaden statystyczny stosunek do sprawy. Rachunek operuje bowiem bardzo wieloma elementami, często niezwykle trudno wymiernymi: artyści i ich dzieła o niejednakowej wartości. Dlatego też wszelkie wynaturzenia samej zasady mecenatu wydają mi się na tyle groźne, iż szkody przeważają tu nad korzyściami.

Wracając do sprawy poprzedniej, trzeba sobie zdać sprawę, że agitując za czynem społecznym nie zbuduje się sztuki. Za darmo mogę siedzieć u siebie w pracowni i robić to, co chce mi się robić. Mogę z tego nic nie mieć oprócz satysfakcji artystycznej. A to jest — proszę mi wierzyć — bardzo dużo. Zwłaszcza, kiedy, rzecz cała ogranicza się do ściśle osobistych poczynań.

Artysta pragnie być zapraszany do uczestniczenia w społecznych zamierzeniach. Uważa jednak, że za wykonywanie zawodu należna jest godziwa lub co najmniej zgodna z jakimiś normami opłata. Można raz lub dwa uczynić dar. Ale nie zawsze.

Oczywiście, istnieją artyści, którzy nie mają predyspozycji, by zabłysnąć w czysto twórczych konfrontacjach. Poprzez takie, jak wspomniałem wyżej, imprezy znajdują więc sobie kuchenne schody do sławy (wątpliwej, ale zawsze).

A przecież chodzi o to, by nikt nie dawał się „nabierać". Jeżeli mówimy o mecenacie społecznym, to równocześnie mówimy o rozwoju kultury w naszym kraju. Tego nie zrobimy ani za darmo, ani w czynie społecznym, ani dzięki ofiarnym, lecz słabo utalentowanym artystom, ani wysiłkami łasych na zaszczyty organizatorów, lecz ciężką pracą, może nieefektowną, wymagającą ofiarności, a nie improwizacji, nie akcji.

IGNACY WITZ

IRENA KRÓLOWA — kierownik kina „Zorza" w Rzeszowie.

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Zdarzenia tygodnia

W dniach 17 i 19 bm. odbyło się w Kielcach międzywojewódzkie seminarium dla instruktorów oświatowych PDK, ZDK i klubów fabrycznych. Wzięło w nim udział 14 osób z województwa rzeszowskiego. Seminarium było poświęcone omówieniu i przedyskutowaniu wybranych zagadnień marksistowskiej teorii kultury.

• • •

W ubiegłą środę i czwartek w PDK w Sanoku odbyło się kolejne szkolenie instruktorów amatorskich zespołów teatralnych z powiatów bieszczadzkich. Uczestnicy seminarium zapoznali się z realizacją niektórych form estrady poetyckiej oraz reżyserią sztuki pełnospektaklowej.

• • •

Związek Polskich Artystów Plastyków i Biuro Wystaw Artystycznych zapraszają miłośników sztuki na dyskusję, która odbędzie się w niedzielę tj. 27 bm. o godz. 12 na wystawie rzeźby w Domu Sztuki przy ul. 1 Maja 18.

W dyskusji weźmie udział autor wystawianych prac Roman Tarkowski, znany z licznych w kraju eskpozycji, mający związek z Rzeszowszczyną, gdyż pochodzi z Posady Jaćmierskiej w pow. sanockim.

• • •

Od połowy lutego przebywa w województwie rzeszowskim zespół instrumentalny Rozgłośni Harcerskiej — „Polanie". Zespół wykonuje w przeważającej części utwory własnej kompozycji oraz najsłynniejsze utwory angielskiego zespołu „The Animals". Jak zapewnia kierownictwo „Polan" brzmienie wykonywanych utworów porywa nawet najzaciekleiszych wrogów big-beatu. Program wypełnicją występy zespołu dziewcząt z Harcerskiej Rozgłośni — „Alibabek".

• • •

W rodzinnym Przemyślu gościła pisarka Zofia Bystrzycka, która spotkała się z członkami „Fredreum" oraz ze społeczeństwem i młodzieżą w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy, gdzie podpisywała swoje książki.

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

F. Ś. — Kłyżów, pow. Nisko: Pisze Pan, że wiersz, który otrzymaliśmy jest pierwszym w Pana życiu. Może nam Pan wierzyć, że jeśli będzie również ostatnim nie poniesie nasza poezja żadnej straty. Na dowód cytujemy fragment: „W dzień ten 8-go marca, powinnaś w dniu swoim, Stawiać, jeść i pić po pół garnca, gdyż dzień ten jest świętem Twoim". Lepiej sobie nie zawracać głowy.

T. N. — Majdan Zbydniowski, pow. Tarnobrzeg — Z jednego wiersza trudno się zorientować w pańskich możliwościach. Prosimy o większy zestaw utworów. Wiersz „Niepewność działania" ma interesujące fragmenty.

„AFŁ" — Sanok: W „Pierwszej miłości" za wiele tego płynięcia, oceanów, otchłani, fal — słowem wody. Do tego jeszcze ten potok łez... Nie widzimy w wierszu żadnych zadatków na uzdolnienia poetyckie.

T. W. — Budziwój: Jakże możemy Panią poinformować o tym, w jaki sposób można wydrukować wiersze w „Widnokręgu", skoro tych wierszy nie znamy. Nie wiemy czy w ogóle nadają się do druku. Prosimy najpierw przysłać teksty wierszy, a później — zobaczymy.

J. K. Ożanna, pow. Leżajsk: Wiersze należy posłać do oceny do jakiejkolwiek redakcji interesującej się sprawami literackimi. Można również przesłać je do „Widnokręgu".

M. Z. Dubiecko, pow. Przemyśl: Wiersze dość kulturalne, lecz bardzo tradycyjne i nieoryginalne. Należy szukać własnego wyrazu, własnego tonu dla opisu swych stanów emocjonalnych. Używa Pan przenośni, zwrotów, figur poetyckich zaczerpniętych z kręgu poezji młodopolskiej, a to odbiera nadesłanym nam utworom autentyczność.

St. K. Bukowiec, pow. Kolbuszowa. Koledzy mają trochę racji, że się śmieją. Jeśli Pan bardzo lubi pisać, jak się dowiadujemy z listu, nie trzeba sobie tej przyjemności odmawiać, ale nie ma powodów, by liczyć na jakieś osiągnięcia na tym polu. Wiersze nie mają żadnych wartości artystycznych.

Redaguje Edmund Gajewski
Ilustruje Jerzy Sienkiewicz

...Z morałem...

Dziś numer specjalny pośledzikowy, czyli plotkujemy o wyczynach zabawowych

ZAMIAST MOTTA — ZAGADKA

Co to jest metr CC)*
To jest nic dla czterech rodaków!

Karnawał i już po karnawale. Śledzik, który lubi pływać nie pamięta takiej powodzi. Wiadomo, odwilż. W tym roku szaleliśmy pod znakiem let's kiss. W końcu wolę pocałować kogoś w nos niż wywijać lansowane niegdyś hołubce. Śmiem nawet twierdzić, że cała ta siermięgowa moda była destrukcyjna. Bo co właściwie znaczy takie wykrzykiwanie.

„Oj nie pójdę w pole orać niech se ojciec pójdom som"...

Dobre to! Synalek hołubca a tatuś orka, orka.

Dzisiaj jest inaczej, tatuś też człowiek.

Niech gwoli swawoli ku przestrodze i nauce potomnych opowiem pewien wyczyn zabawowy — ducha. Wszystko wskazuje, że to jego sprawka, nawet ktoś miał powiedzieć potem:

— Duch w narodzie nie ginie.

W pewnym smutnym miasteczku, pewni bardzo ważni obywatele po rozwiązaniu praktycznym zagadki o „pół metrze" byli bardzo weseli. Nic też dziwnego, że duch pokierował ich krokami do „wesołego miasteczka", które odwiedziło ich smutne miasteczko. O „wesołym miasteczku" chyba nie byłoby warto się rozwodzić, gdyby nie k a r u z e l a!

Człowiekowi zaraz się rzewnie robi na duszy, siadasz na stołeczek, potem przesiadasz się na drugi i tak ze stołeczka na stołeczek. Możesz popatrzyć z góry na tłum i jak orzeł fruwasz wysoko.

Łatwo sobie wyobrazić rozpacz naszych bohaterów, że z powodu późnej pory (noc) karuzela była nieczynna. Od czego jednak dobry duch. To on podpowiedział ważnym obywatelom, że za „pół zagadki" zrobi się.

Kręcą się więc obywatele godzinę, dwie. Nawet księżyc się uśmiecha, chętnie zeszliby na ziemię. Niestety! Szef od karuzeli okazał się nietypowym rodakiem i zmorzył go zagadkowy sen. Nie pomogły groźby i żałosne pojękiwania. Ranek powitał ofiary ducha w żałosnym stanie.

Z tej historyki morał taki:

— Jeśli chcesz fruwać nocą, bądź sową!

Takie wyczyny nazywają się zabawą kawalerską. Nie lepsze bywają jednak skutki szaleństw małżeńskich.

— Nie wierz kobiecie — słowa te adresuję do wszystkich małżonków, pod rozwagę.

W miasteczku T. powiedzmy pan X postanowił w karnawale rozerwać swoją małżonkę (nie należy przenośni brać dosłownie). Na zabawie pani X stwierdziła, że z małżonkiem dzielą ją różnice zdań w sprawie urody pani Y. Te skrajne stanowiska spowodowały manifestacyjne opuszczenie zabawy przez panią X, za którą wytoczył się na ulicę małżonek. Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie!

— Tak mnie kochasz!? Lepiej niech umrę! — krzyknęła urażona w swej dumie małżonka. A za słowami poszły czyny. Błyskawicznie ściągnęła z nóg balowe pantofelki i stanęła w śniegu. Małżonek chwilowo zaniemówił, ale jak przystało na wiernego towarzysza wspólnej niedoli również błyskawicznie ściągnął buty, aby umrzeć wraz z małżonką. Na to tylko czekała przewrotna niewiasta. Chwyciła za buty i ostatnią na postoju taksówką odjechała do domu.

Nie wiem czy już pan X wylizał się z zaawansowanej grypy czego mu wszyscy małżonkowie życzą.

A morał?

— Z żoną własną baw się w domu!

*) Litr czystej czerwonej.

Opowiadania folklorystyczne

RUDA

Nazwa naszej wsi pochodzi od rudy żelaznej. Była ona tutaj w dawnych czasach. Wywożono ją do pieców hutniczych furami. A nawet na miejscu u nas była chyba jakaś huta, bo żużlu po niej do smętka! Przydaje się teraz na drogi. Czego robotnicy tutaj razem z żużlem nie wykopią! Koła od wozów, koryta, niecki, faski i przeróżne inne przedmioty. Tu, gdzie dobywano rudę, pale są wbite do ziemi i jakieś z desek pomosty. Poznać po nich całą dawną gospodarkę. Gdzie się teraz krowy pasie, a nawet tam, gdzie się orze, dawniej dobywano rudę i to jeszcze po tym wszystkim, com powiedział, dobrze widać. Wszystko zapisane niczym w księdze w świętej ziemi. Nawet nie znający pisma może czytać.

Opowiedział: **Piotr Kuna** z Rudy, pow. Ropczyce
Opracował: **Władysław Długosz**

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa", Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2856, 2857 — wewn. 138 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.